JACEK ZALEWSKI

SZPILA

Przebijmy szpilą nadęty świat celebrytów!
Rozbrójmy śmiechem absurdy korporacji!
Pijmy, bawmy się i czytajmy!

LIRA
WYDAWNICTWO

SZPILA

JACEK ZALEWSKI

SZPILA

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2021
ISBN: 978-83-66730-47-2

Nazywam się Aleksander Wielki. To nie żart. A jeżeli żart, to do potęgi — olbrzymi, monstrualny, spasiony żart, niezbyt śmieszny, przynajmniej dla mnie. Śmiał się za to z niego, z wnerwiającą regularnością, mój ojciec, Stanisław Wielki, dumny ze swojego poczucia humoru. Moja matka, Maria Wielki, opowiadała, że już trzy dni po moich narodzinach ojciec dekretem rozstrzygnął burzliwą dyskusję o imieniu.

— Aleksander. — Miał wtedy z diabelskim błyskiem w oczach spojrzeć *z góry* na leżące w beciku „coś" wielkości i koloru pudełka po butach. — Aleksander. To wspaniałe imię dla mojego synka. Aleksander Wielki, tak będziesz się nazywał, mój mały chłopczyku. Kiedy dorośniesz, zostaniesz wielkim człowiekiem, znajdziesz uczciwą robotę i tak jak ja ożenisz się z jakąś miłą dziewczyną.

O ile znam swojego ojca, a znam go odkąd pamiętam, nie było żadnej burzliwej dyskusji, a cała historia to część rodzinnej mitologii. Dekret w sprawie imienia ojciec miał zapewne przygotowany wcześniej — możliwe, że

zaraz po moim poczęciu. Możliwe też, że jeszcze przed. Możliwe nawet, że nie było żadnego diabelskiego błysku w jego oczach, a swój dekret ogłosił tym samym tonem, jakim każdej wiosny ogłaszał, którą morgę obsieje pszenicą, a którą zostawi odłogiem na przyszły rok.

— Będzie się nazywał Aleksander. To postanowione. — Takim zapewne tonem, suchym i twardym jak ściernisko, poinformował matkę o imieniu pierworodnego.

W chwilach, kiedy czuł, że jego życie dotyka spraw zasadniczych, na przykład, gdy planował charakter płodozmianu albo wybierał krawat na niedzielne wyjście do kościoła, lubił podkreślać swoje zdanie pryncypialnym: „To postanowione". Mnie kojarzyło się to z indiańskim „howgh" z książek Karola Maya i nawet pochlebiało, że mam ojca o *indiańskim* charakterze. Matka znała to z bardziej trywialnej i jednocześnie apokaliptycznej strony: kiedy ojciec mówił, że coś jest postanowione, to znaczyło, że nawet gdyby sam miłościwy Chrystus ukląkł przed ojcem i poprosił o zmianę decyzji, nic by nie wskórał. Upór ojca był legendarny i sztywny niczym kolejowa szyna.

Kiedy ojciec wyrażał nadzieję, że zostanę wielkim człowiekiem, najprawdopodobniej miał na myśli wzrost. Wielki człowiek w naszej rodzinie zawsze oznaczał kogoś, kto ma ponad dwa metry wzrostu. Tyle mierzył ojciec, ojciec ojca, ojciec ojca ojca i chociaż nikt dotąd nie narysował drzewa genealogicznego Wielkich, to mogę ten łańcuch „wielkich" przodków po linii męskiej dowolnie przedłużać w przeszłość bez ryzyka błędu. Wielcy po prostu zawsze byli wysocy i — doprawdy — nie było

powodu, bym miał stanowić wyjątek od rodzinnej reguły. Nadzieje ojca równały się prognozie, a nawet miały w sobie coś z nieomylnego, ludowego profetyzmu.

Wiedziałem też, że uczciwa robota to według ojca zajęcie na tyle niezobowiązujące, żeby pozwoliło po godzinach zająć się dwiema morgami ziemi, jakie zostały po dziadku Dionizym. Mogła to być na przykład robota dróżnika na stacji w Nowym Grodzisku Mazowieckim albo listonosza. Listonosz byłby nawet lepszy, bo raz, że zawód niepijący, a dwa, że łatwiej wtedy poznać miłą dziewczynę, jak moja matka.

I tak zostałem Aleksandrem Wielkim z precyzyjnie naszkicowaną przyszłością i wyraźnie zapisanym w dokumentach nazwiskiem. Przepowiednia ojca okazała się jednak nietrafiona, a pierwsze oznaki mojego genetycznego zbłądzenia szybko zaczęli dostrzegać wszyscy oprócz niego.

— Mój mały, wielki synek! — Ojciec, o ile pamiętam, podrzucał mnie już jako niemowlaka i śmiał się przy tym na całe gardło. Ten śmiech potrafi mnie jeszcze teraz obudzić w nocy i spoconego telepać na łóżku w daremnej próbie rozstrzygnięcia, czy najpierw łapać wewnętrzną równowagę, czy oddech. Podrzucał mnie tak do czasu, kiedy skończyłem siedem lat, a więc wystarczająco długo, żebym poznał wszystkie niuanse lęku wysokości. Potem już nie mógł, ponieważ nawet przy moim nikczemnym wzroście i podłej wadze stałem się dla niego za ciężki. Do dzisiaj nawiedza mnie jego piskliwy głos, nie pasujący do dwustu dziesięciu centymetrów wzrostu (wręcz pomniejszający go… o jakieś dziesięć centymetrów).

Zawsze kiedy się przedstawiał, budził respekt pomieszany z zakłopotaniem, co bardzo go bawiło i sprawiało, że z pacholęcą uciechą opowiadał po piętnaście razy te same płaskie kawały każdemu, kto chciał i nie chciał ich słuchać. Wkurzał się wyłącznie wtedy, gdy zdawało mu się, że ktoś go woła po nazwisku, a potem się okazywało, że był tylko obgadywany.

Nazywam się Aleksander i mam sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Jeszcze do niedawna przedstawiałem się tylko imieniem, bo i tak miałem wystarczająco skomplikowane życie, żeby pulę komplikacji powiększać sobie *pomniejszającym* nazwiskiem. Wpadłem na to jednak o jakieś milion razy za późno, tyle bowiem zaliczyłem wcześniej z jego powodu upokorzeń, nieprzyjemności i bezmyślnych złośliwostek. Uczciwie przyznaję, nie zapomniałem ani jednej. Przy każdej z nich mimo woli natężałem się, mobilizowałem wszystkie wewnętrzne zasoby i wyobrażałem sobie, że przeszywające mnie szpilki gniewu i rozpaczy za chwilę zamienię w zatrute strzały i porażę nimi bezczelnych potwarców.

— Cześć, na imię mam Aleksander.

— He, he… Aleksander Wielki — Ta odpowiedź wibrowała mi w głowie po każdym poniżającym wyciągnięciu dłoni w stronę żartownisia. To mi ojciec zrobił kawał! Na całe życie. Dopiero później nauczyłem się podchodzić do swojego imienia jak do rzeczy, jak do kreta w ogródku, dziury w zębie czy konieczności codziennego golenia się. Wcześniej jednak cierpiałem, kiedy moją godność przy przeróżnych okazjach rodzinnych i towarzyskich poniewierały cienkie żarty i grube aluzje.

„Jaką ja mam, kurwa, godność", myślałem zawzięcie, kiedy kolejny, pewny celności swojego dowcipu wujek lub sąsiad, w każdym razie kretyn, uśmiechał się z wyższością i ściskał mi dłoń dostatecznie długo, żebym miał czas na złapanie aluzji. Nie wiedział, że właśnie zajmuje kolejne miejsce na mojej prywatnej liście osób do zamordowania. Bezsenne noce zwykle spędzałem na uporczywym kreśleniu wizji dręczenia nieszczęśnika. W mojej głowie eksplodowały zapamiętane z filmów sceny tortur, gwałtów i okrucieństw, a ja, przepełniony jadem i nieutemperowaną agresją, marzyłem, że oto zostaję w tej egzotycznej materii praktykiem. Nie miałem przy tym wątpliwości, że jeżeli ktoś naśmiewa się z mojego wzrostu, to przemoc wobec niego jest nie tylko atrakcyjna, ale i usprawiedliwiona.

— Są więksi — odpowiadałem niezmiennie, starając się, by moja skromność sugerowała poznanie się na dowcipie. „He, he… wiem, że jestem nikczemnej postury, a ty trafnie wychwyciłeś tę subtelną zależność między moim nazwiskiem a wzrostem. Niezły jesteś, doktorku. Gdzie mi tam do ciebie, he, he… gratki za poczucie humoru". Nienawidziłem siebie i swoich śliskich odpowiedzi. Wolno mi zresztą było sądzić, że tylko ja rozumiałem zaszytą w nich ironię. W ogóle wolno mi sądzić, że ludzie niespecjalnie interesują się losem własnych żartów. Żartujemy, żeby pocieszyć samych siebie, reszta jest niuansem.

Rzadko żartowałem, to znaczy robiłem to tylko wtedy, kiedy musiałem, czyli, gdy się przedstawiałem. Według rodziny jestem ponurakiem. Według dziewczyn, niestety, również.

A potem przyszło mi do głowy, że do cholery, imię mogę skrócić! Przyszło mi to do głowy o jakieś sto tysięcy upokorzeń za późno. Na szczęście jednak wystarczająco wcześnie, żebym przedterminowo nie osiwiał lub nie zbłądził na tyleż życzliwą, co kosztowną, kozetkę któregoś z tych postfreudowskich szarlatanów.

Nazywam się Aleks. Trochę to trwało, ale wreszcie znalazłem idealną formułę swojego imienia. Cudownie krótką i genialnie zwięzłą, a jej lapidarność wciąż mnie przyprawia o ekstazę. Teraz nawet największy żartowniś nie skojarzy jakiegoś tam Aleksa z Aleksandrem Wielkim. W każdym razie odkąd tak się przedstawiam, nikt nawet najcieńszą aluzją nie nawiązał do uwierającego mnie nazwiska. To było to. I gdy zorientowałem się, że fortel zadziałał, poczułem ulgę — jak ktoś, kto wreszcie pozbył się cholernego kreta z ogródka, komu wyrwano chory ząb lub kto wreszcie pokochał poranne golenie się. Koniec z bezsennymi nocami, koniec z bezowocnym knuciem przeciwko wrogom. *Wreszcie się wyśpię*.

Okazało się, że euforia spowodowana znalezieniem cudownego środka na moje upokorzenia budzi mnie przynajmniej czterdzieści pięć razy w ciągu nocy, co oznacza, że zaliczam średnio o piętnaście pobudek więcej niż w czasach, kiedy jeszcze nie wiedziałem, jak rozwiązać problem imienia. W rezultacie za dnia chodzę szczęśliwy, ale niewyspany. Mimo to nie żałuję.

Tylko ja wiem, że Aleks to skrót od Aleksandra Wielkiego. Delektuję się tą myślą na ulicy, w autobusie, w sklepie spożywczym i przy kiosku, w którym jeszcze niedawno kupowałem „Playboya". Teraz już nie muszę,

stosy służbowych „Playboyów" piętrzą mi się na półce, właściwie nie czytane, przeglądane tylko z obowiązku. Aleks to Aleksander Wielki, mikry frajer z Nowego Grodziska Mazowieckiego. Nikt mnie nie rozpozna, nikt mnie nie wyśmieje. Aleks, Aleks… Mogę się napawać cudowną anonimowością, bo odtąd jestem przecież już tylko sobą, to znaczy nikim. Kurduplem z miasteczka znanego w całej Polsce z uprawy pieczarek i tego, że jako dziecko mieszkał tu kiedyś artysta niepokorny o pseudonimie Cezik, absolwentem polonistyki w lokalnej filii Uniwersytetu Warszawskiego, „elementem napływowym".

Przeprowadziłem się do Warszawy, żeby znaleźć szczęście i lepszy świat. Nie znalazłem ani jednego, ani drugiego, za to trafiła mi się praca w serwisie plotkarskim Szpiletek.pl, jednym z szesnastu najpopularniejszych serwisów plotkarskich w Polsce.

* * *

Wiedziałem, że po takim śnie nic nie będzie normalne, a już ja w szczególności, ale też szczerze wierzyłem w przemijalność komplikacji. Na końcu przecież zawsze świeci słońce, choć w tym przypadku słońce oznaczało także początek zakończenia jednej historii i rozpoczęcie kolejnej. Chwilowo jednak miałem pod górkę. Przez całą noc modelowałem przykładowy tekst, żeby był ozdobą CV i dowodem na opanowanie mocy na poziomie zakonnika Jedi. Gdyby na planecie Tython istniały serwisy plotkarskie, byłbym tam zapewne Yodą (zapewne

dlatego, że prawdziwy Yoda nie zajmowałby się takimi duperelami, tylko czymś znacznie poważniejszym, na przykład *głoworelami*, ale mniejsza o niewygodne detale). Temat wybrałem sobie jeszcze przed południem, pomysł na tekst też już miałem, wystarczyło usiąść, przywołać moc i napisać. Cóż prostszego od sklejenia kilku zdań o modnej celebrytce? Gdy zaś do tego człowiek umie posługiwać się językiem ćwiczonym na znacznie subtelniejszych literackich wyżach, zmajstrowanie aforystycznej błyskotki — prostej, ale przyciągającej uwagę, gładkiej w czytaniu, ale jednak zostawiającej coś w czytelniku, prymitywnej w treści, ale wyrafinowanej w formie — nie będzie nawet wyzwaniem. Ta próbka otworzy moim przyszłym pracodawcom oczy na mnie, a *mnie* otworzy drzwi do kariery i już wkrótce zawodowo i *od niechcenia* będę szył seriami aforystycznych błyskotek. Właściwy człowiek na właściwym miejscu to może za dużo powiedziane, ale już teraz wiedziałem, że co jak co, ale branżę show-biznesową zawojuję. Pokażę, że w zdegenerowanej epoce emotikonek i SMS-ów szlachetna sztuka dobrego pisania nie tylko nie umarła, ale wręcz udatnie się do niej przystosowała.

Minutę po rozpoczęciu pracy wiedziałem, że nie będzie łatwo. Krnąbrne słowa żadną miarą nie chciały się ułożyć według planu, rozłaziły się po całej kartce i spółkowały ze sobą jak Bozia przykazała, czyli nudno, przewidywalnie i wcale nie podniecająco. Kiedy zaś już myślałem, że wreszcie zmusiłem je do figli rodem z „Kamasutry", moim oczom ukazywała się, ekscytująca jak seks po ciemku, szydercza biel czystej kartki. Rozumiałem, że

na tym poziomie pisanie nie musi być uwodzicielskie, ale bodaj krztę erotyzmu powinno posiadać, w każdym razie *ja ją posiadałem*, jeszcze ją posiadałem, jeszcze pisanie o modnej celebrytce posiadało dla mnie krztę erotyzmu. Błąd? Jeżeli tak, taśmowa produkcja newsów szybko mnie wyleczy z romantyzmu. Tymczasem cierpiałem.

Byłem zdolny do wielu wyrzeczeń. Przeciętnie co trzynaście minut rozpoczynałem robotę od nowa, co siódmą używałem rodzinnego przekleństwa (wciórności!), a co trzecią ocierałem wyimaginowany pot z czoła. Wkurzałem się i płakałem na przemian, darłem papier na kawałki i składałem z powrotem. W chwilach bezradności go podpalałem, a w gęstych jak kisiel chwilach zwątpienia zjadałem. W poszukiwaniu właściwych fraz wyprawiałem się paralotnią do dżungli, łodzią podwodną na Arktykę, a hulajnogą do pobliskiego sklepu z przyborami do pisania. Wciąż nie miałem szczęścia, to znaczy natchnienia, a może obu tych dobrodziejstw na raz: w dżungli pożerał mnie wilkołak, na Arktyce karmił mną młode biały niedźwiedź, a pobliski sklep okazywał się zamknięty na siedemnaście spustów (dlaczego na siedemnaście?). Wreszcie mały sukces — po pokonaniu tych siedemnastu przerdzewiałych cholerstw (każdego z osobna) wszedłem, a to, co zobaczyłem w środku (konkretnie — na ladzie), przyprawiło mnie o dzikie drżenie. Poczułem się jak prawiczek, który wreszcie zobaczył gołą babę, jak wysuszony kacem pijak znajdujący na ulicy stówę lub jak ksiądz za jednym zamachem znajdujący stówę, flaszkę i gołą babę. Zobaczyłem zaczernioną kartkę papieru i bez najmniejszych wątpliwości wiedziałem,

że to jest mój tekst. Nareszcie! Po przemierzeniu tysięcy kilometrów i zdobyciu tysięcy niepotrzebnych sprawności, w sposób całkowicie zasłużony wyśniłem sobie popisowy tekst, ozdobę CV. Leżał sobie drań na ladzie, całkowicie obojętny na moje ekstatyczne, niekontrolowane drżenia, a ja bałem się podejść, żeby nie zniknął i jednocześnie delektowałem się świadomością, że on tam jest — w ostatecznej postaci, cudownie doskonały, wygładzony do ostatniego przecinka — news o kolejnym tatuażu Popularnej Pogodynki.

Po obudzeniu rzuciłem się jak głupi w stronę biurka, choć na dobrą sprawę, żeby odnaleźć rzeczony tekst, powinienem zostać w łóżku, a właściwie to nawet się nie budzić.

* * *

To, co napisałem na jawie, nie było nawet w połowie tak dobre, jak *to* ze snu, ale już było za późno. A przecież to miał być mój popisowy tekst. Dołączyłem go do CV jako przykład umiejętności pisarskich i rozesłałem do szesnastu najbardziej liczących się na rynku serwisów plotkarskich. Pożałowałem tego niedługo po wysłaniu ostatniego CV. Mój tekst był do niczego, co uświadomiłem sobie zaraz po tym, jak wszedłem na stronę serwisu Szpiletek.pl. Ktoś, jakaś redaktorka (albo redaktor) o wyszukanym pseudonimie Grac, zrobiła (albo zrobił) ten sam temat tak, że ja po przeczytaniu go poczułem, jakby podłączono mnie do akumulatora o napięciu dwunastu woltów i puszczono prąd przez wrażliwe części ciała. To

było lepsze nie tylko od tego, co napisałem, ale nawet od tego, co wyśniłem. W jednej chwili pojąłem, że nie będę tak pisał, nawet gdybym ćwiczył całymi dniami i spał całymi nocami albo nawet spał kosztem pisania, to znaczy pisał wyłącznie we śnie. Gdyby całość mojego rozczarowania nie rozgrywała się w wirtualnej przestrzeni internetu, kartkę z newsem wyrzuciłbym na śmietnik, pamiętając, że śmieci należy sortować. Tylko do jakiej kategorii śmieci zakwalifikować źle napisany news o najnowszym tatuażu Popularnej Pogodynki?

Meta jeszcze przed startem, a nawet zamiast startu. Życie niektórych składa się wyłącznie z met — od razu są ostatni, bez niepotrzebnej formalności startowania w jakimkolwiek biegu. Dla takich jak ja wymyślono wyłącznie mety, dla takich jak Grac wymyślono media. Poczułem do niej najgłębszą, soczystą nienawiść. Zdruzgotała moje marzenie o karierze w mediach i to zanim na dobre je rozwinąłem. Napisała swój tekst od niechcenia, zapewne jadła w tym czasie sałatkę wegetariańską i sprawdzała, co nowego u angielskiej rodziny królewskiej (to jednak ona, czuję, że to kobieta, redaktorka, *gracja*). Potem zajęła się na przykład wyszukiwaniem największych gaf strzelonych przez polskie gwiazdy w ostatnim tygodniu i już nie pamiętała o nic nie znaczącym z jej perspektywy newsie — newsie, który odmienił moje życie, a właściwie nie dał mi szansy go odmienić. Siedem godzin psu na budę. Tyle czasu spędziłem na dopieszczaniu tekstu (snu nie liczę) i na koniec zrozumiałem, że jestem niekompetentnym uzurpatorem, bez szans na zostanie redaktorem jakiegokolwiek szanującego się serwisu. Skoro w Szpiletku,

jednym z szesnastu, ale jednak nie oszukujmy się — *szesnastym* w hierarchii serwisie plotkarskim w Polsce, piszą lepiej, to gdzie jest moje miejsce? Na śmietniku? Tylko do jakiej kategorii śmieci zaliczyć prowincjonalnego, bezrobotnego humanistę świeżo po studiach? Kto go posortuje i wskaże mu właściwy kontener? Oto dramat współczesnego humanisty: potrafi prawidłowo określić swoją kondycję na płaszczyźnie metafizycznej, ale nie umie rozpoznać, do jakiego rodzaju śmieci przynależy. Przerasta go wybór właściwego kontenera.

Tego wieczoru otrzymałem od szefowej Szpiletka — Matyldy Niewypalec — maila z zaproszeniem na rozmowę kwalifikacyjną.

„Witam, zapraszam na spotkanie w przyszłym tygodniu. Poniedziałek o dziewiątej?".

Znacie to uczucie, kiedy dzieje się coś, co nie miało prawa się zdarzyć? Bo nigdy się nie zdarzało, bo nie zdarzało się wam, bo zdarzało się innym. Pogodziliście się, że zawsze macie pecha, że to inni wygrywają, mają ładniejsze dziewczyny, szybsze samochody, ciekawsze historie i w związku z tym częściej uprawiają seks, a tu nagle… Nie możecie uwierzyć: zwycięski los na loterii to wasz los, na metę przybiegliście pierwsi, a najseksowniejsza dziewczyna w klasie właśnie wam dała ściągnąć. Dokładnie tak się poczułem, kiedy znalazłem w skrzynce pocztowej Onetu maila z informacją, że zostałem zaproszony na rozmowę kwalifikacyjną. Czytałem go wciąż od nowa z pornograficzną przyjemnością, aż przyjemność stała się przezroczysta i prawie niezauważalna. Poniedziałek! Niech będzie i dziewiąta, wstanę o czwartej

(a może w ogóle nie będę spał?), włożę odprasowaną koszulę i wyczyszczony garnitur i udam się… No właśnie. Dokąd?

Jeszcze raz na spokojnie przeczytałem maila i tym razem postarałem się spojrzeć na niego okiem zawodowca, a nie erotomana-pisarza. Na chłopski rozum (mój ojciec Stanisław Wielki jest chłopem, czyli ja jestem chłopskim synem) w mailu powinna być informacja o miejscu spotkania. Tak jest przecież uczciwie, rzetelnie i profesjonalnie — myślałem w trakcie skrupulatnego maltretowania wzrokiem jego treści. Może gdzieś ukryto wskazówkę? Coś mi podpowiadało, że to sprawdzian mojej inteligencji, że ten mail to już element rozmowy kwalifikacyjnej, jej pierwszy etap. Przecież to niemożliwe, żeby Niewypalec zapomniała o tak elementarnej sprawie. Przecież miejsce spotkania wcale nie jest oczywiste. A może jest? Nie wiedziałem, jak to ugryźć, przeklinałem szefową Szpiletka, siebie i cały świat. Przede wszystkim jednak to ją przeklinałem, bo guzik mnie obchodziło, czy tylko zapomniała podać miejsce spotkania, czy też zrobiła to z premedytacją. Teraz ja, Aleksander Wielki, to znaczy Aleks, siedzę bezradny przed laptopem i zadręczam się jakimś idiotycznym problemem. Rzetelna firma podaje datę i miejsce spotkania. A jeżeli firma jest rzetelna do tego stopnia, że czyni z tego element testu? Z goryczą myślałem o pieprzonej Niewypalec — zapewne teraz, w chwili podgryzającej mnie niepewności, zajmuje się czymś przyjemnym i ani myśli o mnie. Wkurzało mnie, że ona puściła sobie od niechcenia maila, a ja miałem gigantyczny problem, na

który marnowałem cały wieczór. Przeklinałem Niewypalec najszczerzej i najsoczyściej, jak umiałem — na tyle, na ile pozwalała mi moja wyobraźnia. Myślę, że to były naprawdę soczyste przekleństwa. Niestety, nie mam na to świadków, zwykle bowiem wypowiadam je w myślach, a potem żałuję, że tylko w myślach. „Cieszę się. Zatem w poniedziałek o dziewiątej w Państwa siedzibie?".

Wypuściłem balon próbny. Teraz pozostało czekać, aż moje chytre zagranie przyniesie pożądany efekt i podstępem wyciągnę z Niewypalec prawdę, tylko prawdę i cholerną prawdę, czyli miejsce rozmowy kwalifikacyjnej.

„Tak, właśnie".

Odpowiedź przyszła błyskawicznie, zanim jeszcze zdążyłem się nacieszyć swoją mistrzowską strategią. Czyli jednak Niewypalec czuwała i zaprzątała sobie mną głowę. Nie ucieszyło mnie to. Byłem przekonany, że jeżeli nie gra ze mną w jedną z tych korporacyjnych gier i brak adresu jest tylko niedopatrzeniem, to delikatną aluzją naprowadzę ją na właściwy tor i z czystej przyzwoitości naprawi zaniedbanie. „Tak, właśnie" — ta sucha informacja telepała mi się przed oczami i przyprawiała o ból głowy. Nie udało się! Odbiła piłeczkę, bo albo ma to gdzieś, albo jest to z kolei jej mistrzowska strategia. Raczej to drugie — przecież nie jestem pierwszy, nie z takimi miała już do czynienia. Wie, co robi i teraz czeka na moją reakcję. Muszę jakoś zareagować, przed chwilą dowiodłem przecież, że jestem przy komputerze — powinienem szybko coś wymyślić, odpisać, *zdać egzamin*. Mógłbym wprawdzie spokojnie się zastanowić i absolutnie pewny

swego później odpisać *właściwie*. Nie miałem jednak na to czasu, wiedziałem, że ona oczekuje natychmiastowej odpowiedzi, a ja nie umiałem jej udzielić.

Pierdolić to — zapomniałem, że stać mnie na lepsze przekleństwa i z desperacją wystukałem swoje być albo nie być:

„Poproszę o dokładny adres".

„Jest w stopce. Jak pan przyjdzie, to proszę do mnie zadzwonić z recepcji".

Więc jednak! Kurwa, dlaczego jestem takim tępym debilem, dlaczego nie sprawdziłem dokładnie, wystarczyło przeczytać! Palec pod budkę, kto nie używa sobie w ten sposób, kiedy nikt nie słyszy, nawet Bóg. „Dżizas, kurwa mać, ja pierdolę" (Adasiu Miauczyński, który jesteś w każdym z nas, bądź pozdrowiony). Pomstowałem na siebie z upodobaniem, z determinacją neurastenicznego frustrata i bezwzględnością masochisty. Wyładowywałem na sobie całą bezsilną wściekłość, raniłem siebie najgorszymi słowy za bezmyślność, pochopność i w ogóle, dołożyłem sobie za całą swoją biografię, a w szczególności za to, że obmyślając zawiłe strategie, w prosty sposób zrobiłem z siebie głupka.

* * *

Ściganie po całym świecie perfekcyjnego tekstu o tatuażu Popularnej Pogodynki skończyło się równo z dzwonkiem budzika. Wyskoczyłem z łóżka i od razu wpadłem w mglistą szarość wilgotnego poranka. Okno było otwarte, co znaczyło, że matka znowu zignorowała

mój tysięczny protest i otworzyła je na oścież, kiedy spałem — wprost na najbardziej ponury listopadowy świt, jaki można sobie wyobrazić. Tym razem jednak nie protestowałem. Byłem szczęśliwy, że ta postrzępiona i upstrzona dokuczliwymi snami noc wreszcie się skończyła. Na krześle wisiała uprasowana wieczorem koszula. Na wieszaku przyczepionym do żyrandola dyndał mój pierwszy, studniówkowo-maturalny garnitur. Ubrałem się piorunem, bo eleganckim i czystym strojem chciałem unieważnić dramat niespokojnej nocy.

W kuchni na stole parowała w dzbanku gorąca herbata, obok stał talerz z kanapkami ze swojskim smalcem i szynką Maryny ze sklepu „U Zosi". Bawiła mnie ta nazwa, wolałem jednak nie dociekać, dlaczego akurat Maryny ta szynka. U Kierkegaarda kiedyś przeczytałem anegdotę o sklepie, który miał na wystawie napis „Tu się prasuje". Pewien człowiek zaniósł tam swoje pranie i dowiedział się, że szyld jest na sprzedaż. Dlatego miałem szczerą nadzieję, że szynka Maryny to też tylko szyld.

W plecaku czekały na mnie owinięte w papier takie same kanapki z robionym przez ojca smalcem i wspomnianą szynką. Znalazłem tam również dodatkową parę skarpetek, termos z herbatą, różaniec i obrazek ze świętym Józefem, patronem ludzi pracy. W bocznej kieszonce na suwak, sprytnie ukrytej pod specjalną zakładką, znalazłem jeszcze zmaterializowane w tajemniczy sposób pięćdziesiąt złotych. Przegryzając bułkę z szynką i parząc usta herbatą, z własnej inicjatywy dołożyłem do plecaka prywatne talizmany: zeszyt i ołówek.